

Jeśli nie think tanki, to kto?



RAFAŁ MATYJA

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Dopóki rządzący nie zaczną zadawać pytań, a po stronie instytucji eksperckich nie pojawią się szerokie, dopracowane obrazy – intelektualny ping pong będzie trwał bezkarnie

Polskiej polityce brakuje szerszej perspektywy. Nie rysują jej ani partie polityczne, ani wpływowe media, nie podejmują debaty na ten temat ośrodki akademickie. Jedyne instytucje, które widzą taką potrzebę – funkcjonujące w różnych formach think tanki – wydają się zbyt słabe, by wpływać choćby na kształt debaty publicznej. Ta słabość polskich think tanków nie wynika z niskiego poziomu wiedzy lub inteligencji ekspertów. Nie wynika też z braku, czy nawet niedoboru środków. Istotą rzeczy jest klimat intelektualny, w jakim funkcjonują. Istotą rzeczy jest udawanie, że polityka nie istnieje, koncentrowanie się na szczegółach bez próby konstruowania szerszego obrazu, czy wreszcie urzędowy optymizm, towarzyszący procesowi konsumpcji środków europejskich.

Jednocześnie polityka coraz łatwiej obywa się bez merytorycznego zaplecza. To sprawia, że potencjał wiedzy, jaką posiadają setki specjalistów, jest marnowany, a polski sektor ekspercki staje się coraz bardziej segmentem wyspecjalizowanych

public relations, służącym produkcji czysto wizerunkowych strategii i projektów, a oddala się od swego podstawowego pola – jakim powinno być kształtowanie strategii publicznych.

Ograniczenia rozumu eksperckiego

Eksperci są zwykle specjalistami od dość wąskich dziedzin i rzadko kiedy chcą dostrzec proponowane przez siebie rozwiązanie jako element większej całości. Zwłaszcza, gdy postrzegają ową całość jako efekt rozstrzygnięć politycznych. Nawet wielkie programy rozwojowe ciągle przypominają „patchwork” pomysłów i rozwiązań cząstkowych, niepołączonych żadną myślą przewodnią, a co najwyżej kilkoma importowanymi z Brukseli sloganami.

Innym problemem jest rzadka zdolność do myślenia scenariuszowego, czyli rozpatrywania wariantów zmodyfikowanych w trakcie procesu wdrażania pierwotnego projektu. „Coś poszło nie tak” – więc nie ponosimy odpowiedzialności za

projekt. Nie wzięto pod uwagę modyfikacji, będących wynikiem gry interesów, niedoboru środków finansowych, kolizji prawnych itp. Co ciekawe, niechęć do takiego myślenia nie jest jakimś błędem, ale regułą. W trakcie reformy administracji w 1998 roku doszło do zmiany planowanej pierwotnie liczby województw i faktycznej odmowy współpracy ze strony resortu finansów. Oba czynniki można było łatwo przewidzieć, a jednak twórcy ówczesnej reformy uznawali, że tak daleko idący demontaż narusza jej cechy systemowe.

W ostatnich latach rozwinęła się też cała „branża” ekspertów, których wiedza ogranicza się do efektywnego doradzania w dziele pozyskiwania środków europejskich. Trudno niekiedy powiedzieć, czy posiadają oni wiedzę o jakimkolwiek wymiarze rzeczywistości społecznej, ekonomicznej czy administracyjnej – potrafią dobrać parametry i argumenty tak, by dany projekt zyskał uznanie recenzentów i organów decydujących o przyznawaniu pieniędzy.

Po 2004 roku zaczęliśmy pisać strategię, stosować mierniki i kryteria oceny, rozbudowaliśmy sferę badań nad politykami publicznymi. Ale nie oznacza to, iż wiemy wiele więcej. Jeżeli zaś wiemy, to jest to raczej skutek uboczny – fakt, że większe finansowanie prac eksperckich owocuje gromadzeniem wiedzy i danych, które można stosować także wbrew pierwotnej intencji. Mimo to, nadal gromadzimy drobne puzzle, nie wiedząc, w jaki sposób je do siebie dopasowywać.

Brak szerszego obrazu

Konstruowanie szerszych obrazów odbywa się w intelektualnej próżni. Nawet w obiegu akademickim rzadko zdarza się, by dyskutowano jakąś szerszą monografię

jako taką. Oficjalni recenzenci skupiają się na metodologii i detalach, dyskusje seminaryjne zaś albo na czcnych pochwałach albo na „pretensjo-żalach” – o pominięcie ważnego tekstu, o lekceważeniu dorobku i nie branie pod uwagę innych spojrzeń.

**Gubimy szersze obrazy
w każdej niemal sprawie.
Koncentrujemy się na
słownych lapsusach,
medialnych prowokacjach,
średnio istotnych danych.
Komentujemy sondaże
i rankingi, rzadko
obserwując długie trendy**

W debatach pozbawionych sztywnego kontekstu naukowego jest niewiele lepiej. Najczęściej uznaje się, że „przecież ten ogólny obraz jest nam świetnie znany” albo też abdykuje się intelektualnie stwierdzając, że „podlega zbyt daleko idącym uproszczeniom publicystycznym”. Taka uwaga oznacza zresztą najczęściej epitet. Publicystyka bowiem jest dyskredytowana nie tylko jako nienaukowa, ale z natury stronnicza i deformująca rzeczywistość. Tak czy inaczej – dyskutanci zwykle stronią od odniesienia się do prób konstruowania takiego obrazu, skupiając się na tym, do czego łatwo można się przyczepić, choć jest drobne, konkretne i często w ogóle nie warte uwagi.

Ostatnią deską ratunku mogłaby tu być tak zwana „debata publiczna”, która ze swej natury zakłada uproszczenia. Tyle

tylko, że kładzie ona nacisk na łatwe i skrajne oceny. Ileż to razy dziennikarze telewizyjni pytają: „Czy to znaczy, że ostatnie ćwierćwiecze to okres stracony?”, albo: „Czy zatem możemy nazwać Trzecią Rzeczpospolitą złotym okresem w historii Polski?”. Rozmówca klei odpowiedź ze sloganów i bon motów, wiedząc, że wystarczyłoby odpowiedzieć „głosowałem na Bronisława Komorowskiego” lub „uważam, że Paweł Kukiz to jedyny uczciwy kandydat”, bo tylko o to w gruncie rzeczy pyta dziennikarz, doskonale wiedzący, że jego pytania nie mają żadnego innego sensu. I że nigdy nie padłyby w tak zwanej prywatnej rozmowie.

Gubimy szersze obrazy w każdej niemal sprawie. Koncentrujemy się na słownych lapsusach, medialnych prowokacjach, średnio istotnych danych. Komentujemy sondaże i rankingi, rzadko obserwując długie trendy. Dla mediów każda informacja staje się ważna, gdy dodaje punktów PiS lub opozycji. W tej sytuacji jedynym szerszym kontekstem staje się rywalizacja polityczna między głównymi partiami. Nic zatem dziwnego, że od dziesięciu lat ten właśnie spór jest jedynym szerszym obrazem, jakim dysponuje polska polityka. Obrazem malowanym tendencyjnie i pod bieżące potrzeby.

Urzędowy optymizm

Trzecim czynnikiem, który wpływa na zagubienie się polskiej myśli eksperckiej jest, określony jako reguła gry przy tworzeniu strategii, urzędowy optymizm. Strategie te pisze się pomijając możliwość zaistnienia czarnych scenariuszy, czy choćby po prostu „gorszych wariantów”, zakładając prawdziwość jednego tylko modelu rozwoju (choć uczestnicy gry doskonale znają inne, także te, których kiedyś byli

zwolennikami). Opinie niepasujące do schematu są pomijane.

Co gorsza – skutek lekceważącej istotne uwikłania aktorów i działania grup interesu „apolityczności” dyskursu – deliberacje strategiczne prowadzone są tak, jakbyśmy byli społecznością aniołów, kierujących się doskonałą racjonalnością. Racjonalnością nieuwikłaną w słabości rozumu czy interesowność. Choć polityka – nawet w jej normatywnym, ustrojowo-prawnym ujęciu – jest grą interesów, prowadzoną w sposób, który nie pozwala wykluczyć patologii, to myślenie strategiczne stara się być od tego naturalnego kontekstu wolne. Nawet w tak prostej dziedzinie, jak gra między ośrodkami miejskimi o infrastrukturę, lokalizację instytucji, o środki materialne – oficjalne dokumenty prezentują już nie urzędowy optymizm, ale urzędową naiwność.

Gdyby zapytać jednak, jak będzie wyglądał ten czy inny program, gdy środki europejskie zostaną nagle istotnie ograniczone, gdy pojawią się zdarzenia międzynarodowe, które będą wymagały od nas zmiany strategii, usłyszymy jedno: „to wtedy się pomartwimy”. Gdy pytamy ekspertów o możliwe negatywne skutki regulacji, zwykle spotykamy się z odmową odpowiedzi lub zarzutem – blokowania (czasami nawet interesownego) zmiany lub o podejściu ideologiczne.

Choć wysłuchiwanie „advokatów diabła”, przeciwników lub krytyków wprowadzanej zmiany, zanim jeszcze podejmie się kroki legislacyjne czy organizacyjne, powinno należeć do naturalnych procedur redukujących ryzyko błędu, dziś debatą rządzi zasada odmienna. Co więcej, wpływa ona na zamykanie się instytucji i kręgów eksperckich przed wpływami z zewnątrz, które niosłyby ryzyko innego spojrzenia.

Bezwładne instytucje

Z wyżej wspomnianych powodów kluczową wadą naszego myślenia o politycznej przeszłości jest brak miejsc, w których może dokonywać się taka istotna synteza i w których mogą powstawać wersje alternatywne, krytyczne ujęcia itp. W tej chwili jest to jedna z najpoważniejszych luk instytucjonalnych. Premierzy rządzą bez zaplecza doradczego, nawet jeżeli zatrudniają doradców – to zwykle są to spin doktorzy. Gabinety polityczne ministrów są zaludnione asystentami o kompetencjach wyłącznie partyjnych lub z zakresu PR. Władze samorządowe unikają dyskusji o problemach miasta – w skrajnych przypadkach odmawiając nawet udziału w debatach podczas kampanii wyborczych.

Nawet jeżeli dochodzi do konfrontacji ekspertów – czego znakomitym przykładem była fascynująca debata toczona przy okazji OFE, w ramach której po raz pierwszy doszło do publicznej, ostrej konfrontacji „mainstreamowych” ekonomistów – to jest to wyjątek, zwykle obejmujący jakiś szczególnie kontrowersyjny fragment. Ale nigdy – całość systemu.

Świetnym przykładem tych słabości polskiego myślenia strategicznego jest kształt i sposób procedowania Narodowej Rady Rozwoju, którą już w początkach podzielono na „zespoły”, osłabiające zdolność dokonywania syntezy. Sprawiono, że udziela ona tych odpowiedzi, które najłatwiej sformułować i które często są zadającym pytania dobrze znane. Nie wymagają konfrontacji różnych perspektyw „branżowych”, analizy wzajemnych zależności. Jest to zaniedbanie tym istotniejsze, że – jak wskazują dotychczasowe fakty – może być jedynym ciałem eksperckim zdolnym formułować jakkolwiek

myśl strategiczną, niepodporządkowaną bieżącej taktyce PiS.

Wielki plan wicepremiera Morawieckiego został zredukowany do podporządkowanej logice rządowego spinu prezentacji slajdów. Bez wiary w to, że publiczna debata pozwoli go poprawić. Nie poddano pod dyskusję założeń intelektualnych, samego rdzenia projektu – uznając go za

Gdy pytamy ekspertów o możliwe negatywne skutki regulacji, zwykle spotykamy się z odmową odpowiedzi lub zarzutem blokowania – (czasami nawet interesownego) zmiany lub o podejście ideologiczne

niepodlegający weryfikacji, a zatem zapewne nieomylny. Polskie władze zdają się kierować zasadą „no platform”, stosowaną wobec wszystkich możliwych krytyków. Redukują do minimum poważną debatę w parlamencie i wzmacniają rytualny charakter procesu legislacyjnego, nie poddając pod dyskusję przede wszystkim założeń.

Pole gry

Paradoksalnie – mimo wzrostu liczby publikowanych strategii, mimo rozwoju instytucji biorących pieniądze za organizowanie debaty publicznej, mimo ogromnych szans, jakie daje Internet – myślenie w kategoriach długofalowych jest dziś mniej popularne niż dwadzieścia lat temu. Pole gry o rzeczywiste strategie publiczne

jest zdezorganizowane. Liczą się na nim przede wszystkim politycy udający, iż posiadają wizję i eksperci technicy, od przykładów aktualnie modnych w Europie koncepcji na język pisanych strategii władz publicznych. Wartość tego sojuszu mierzy się zaś przede wszystkim ilością pozyskanych środków europejskich.

Na tym zdezorganizowanym polu think tanki nie mogą odegrać żadnej liczącej się roli. Nie wyprzedzą lobbystów, którzy dysponują ogromnymi środkami, by podsuwać politykom gotowe rozwiązania. Nie mają instytucjonalnych partnerów w polityce, którymi w innych systemach są „staffersi” parlamentarzystów, ludzie z gabinetów politycznych ministrów oraz redaktorzy poważnych pism. Nie mają środków finansowych, które dawałyby im niezależność, ani kultury pracy instytucji politycznych, która wymuszałaby rzeczowość i oryginalność propozycji.

Nie dysponując obrazem całości, wpadają w tę samą krótkowzroczność, w jakiej funkcjonuje polityka. Od skandalu do skandalu, od jednego modnego pojęcia do drugiego. Jak nie „smart city” to „partycypacja”, jak nie „odpowiedzialna polityka monetarna” to „pułapka średniego wzrostu”. Mechanizm polityczny nauczył się już ignorować uwagi z poziomu eksperckiego czy choćby formułowane przez ludzi z dużym doświadczeniem praktycznym, wprowadzając istotne rozwiązania bez debaty, bez oceny ryzyka i korekt, które osłabiłyby negatywne skutki. Dopóki rządzący nie zaczną zadawać pytań, a po stronie instytucji eksperckich nie pojawią się szerokie, dopracowane obrazy – ten intelektualny ping pong będzie trwał bezkarnie, bez większego wpływu na rzeczywistość.

Trudno jest oczekiwać, że to najslabszy instytucjonalnie segment polskiej polityki, jakimi są niezależne od partii think

tanki, stanie się kluczowym czynnikiem zmiany. Ale z drugiej strony – jeżeli nie on, to kto? Wbrew pozorom decyzja, by zmienić logikę własnego funkcjonowania i zabrać się za tworzenie szerokich panoram, obrazów całości jest dla tych instytucji ogromnym ryzykiem. Takich panoram, o ile nie mają być podstawą programów czy kampanii wyborczych, nikt nie zamówi. Ba – nie tylko nikt ich nie potrzebuje, ale wielu partnerom wydadzą się one wręcz szkodliwe. Podobnie nerwowo zareagują instytucje publiczne, którym przedłoży się propozycję szkicowania czarnych scenariuszy, czy niekompatybilnych z językiem unijnych strategii rozwiązań. „Nas rozliczają z ilości wykorzystanych środków, o tym co było sensowne dowiemy się za 20 lat” – słyszałem od najinteligentniejszych polityków szczebla regionalnego i lokalnego.

Działać pod prąd

Najtrudniej funkcjonuje się w intelektualnej próżni. Gdy formułowane tezy nie tylko nie znajdują zainteresowania, ale często są wręcz traktowane jako działania szkodliwe. Ten jednak, kto pierwszy zacznie działać pod prąd, ma szansę zgarnąć całą nagrodę, jaka przypadnie temu, kto odwrócił fatalny dla kraju trend. Wielokrotnie już myśl polityczna odradzała się w Polsce, pomimo panującego dookoła jałowego gadulstwa i wbrew niepodporządkowanej żadnemu dalekowzrocznemu celowi politycznej krzątaninie. Odwrócenie intelektualnego klimatu wydaje się bardzo trudne, zanim się tego dokona. Jednak potem, z perspektywy lat, zastanawiamy się, jak to możliwe, że do tej zmiany wystarczyło kilka książek, kilkadziesiąt numerów periodyku, kilka śmiałych politycznych pomysłów.